

sztuka
czułości

Joanna Podsadecka

Ks. Jan Kaczkowski

o tym, co najważniejsze

sztuka **czułości**

Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2017

© Joanna Podsadecka, 2017

Opieka redakcyjna: Olaf Pietek

Redakcja: Dagmara Małysza

Korekta: Dariusz Godoś

Projekt okładki: Dariusz Kobucki, Dawid Polkowski

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-0819-9

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

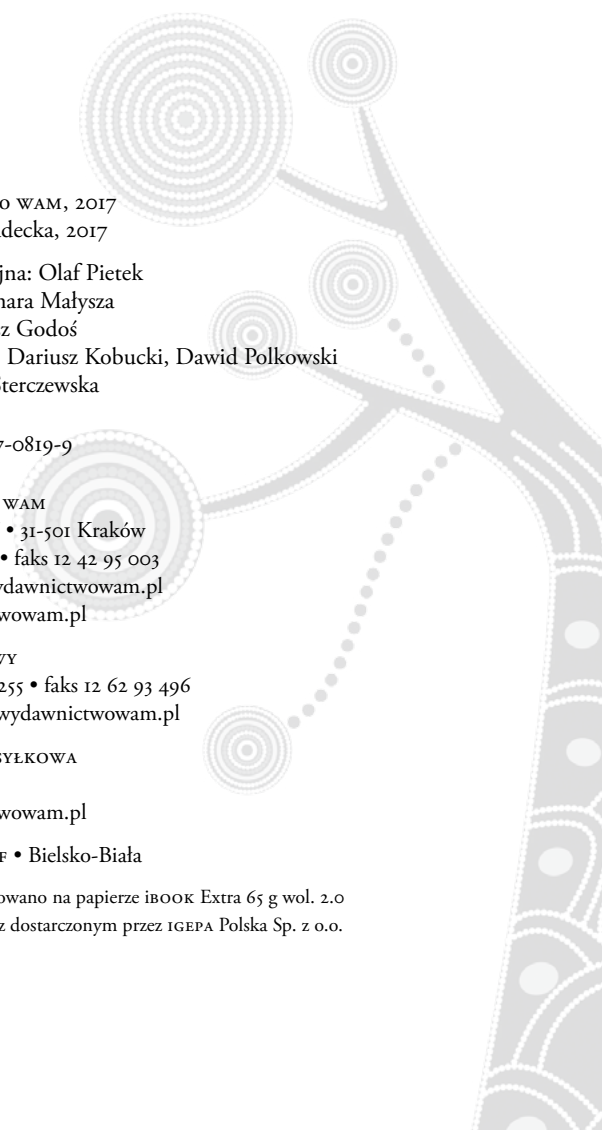
KSIEGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

Druk: DIMOGRAF • Bielsko-Biała

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK Extra 65 g wol. 2.0
dostarczonym przez dostarczonym przez IGEPa Polska Sp. z o.o.





WSTEP



Niedawno zapytano mnie, skąd się wziął fenomen ks. Jana Kaczkowskiego. Pomyślałam wtedy, że być może z naszej tęsknoty za ludźmi, którzy żyją tak, jak mówią. „Można mieć pełne usta słów o godności człowieka, o jego wewnętrznej prawdzie i potrzebie wiary w człowieka, jeśli jednak za słowami nie pójdą czyny, mowa ta obróci się przeciwko mówiącym”, pisał ks. Józef Tischner. W sferze publicznej wciąż spotykamy się z tym, że deklaracje rozmiągają się z czynami. Nauczyliśmy się nawet udawać, że się na to znieczuliliśmy, że to nas nie boli, że nie ma znaczenia.

Jan uczył, jak odnaleźć się w przestrzeni osoby chorej, czasem nieuleczalnie, a gdy zachorował, tym, jak w tej rzeczywistości się odnalazł, uwiarygadniał to, o czym mówił wcześniej. W społecznym odbiorze stał się kimś do bólu autentycznym. Nie dziwi więc gigantyczna popularność, jaką cieszy się także dzisiaj, po swojej śmierci.

Zalęknionym ludziom, którym często brakuje odwagi do spełniania marzeń, ten człowiek, który z uwagi na słaby wzrok czy lewostronny niedowład od dziecka miał pod górkę, pokazał, co to znaczy żyć na pełnej pe-tardzie – nie oszczędzając się i nie zapominając o realizowaniu swoich pasji.

Nieprzypadkowo przywołałam słowa ks. Tischnera. Założyciel Puckiego Hospicjum bywa do niego porównywany. Mimo oczywistych różnic obaj reagowali na cudzą krzywdę rzeczywiście podobnie. Jan lubił po-woływać się na autora *Myślenia według wartości*, nadmieniając, że ten wyprzedził swoją epokę o trzy długości. Wojciech Bonowicz, poeta, publicysta i biograf Tischnera, wspomina:

Kiedy zbierałem informacje do biografii księdza Józefa Tischnera, zapytałem w jego rodzinnej Łopusznej, co sprawiło, że był tak bardzo lubia-ny na Podhalu (w końcu wielu księży pochodziło z tego regionu, ale nikt nigdy nie dorównał mu popularnością). Żona szkolnego kolegi Tischnera powiedziała twardo: „Bo to był ksiądz, ale człowieka uszanować umiał”.

Słowa te od kilkunastu lat dźwięczą mi w uszach. „To był ksiądz, ale człowieka uszanować umiał”. Jaki obraz, jakie doświadczenie duchownego miała tamta kobieta?!

Dziś przypominam te słowa w kontekście postaci księdza Jana. Po tym, jak odszedł Tischner, nie wierzyłem, że Kościół w Polsce dostanie jeszcze kiedykolwiek podobny prezent: księdza, który trafić będzie do ludzi różnych postaw i przekonań. Zarówno tych, którzy we wspólnocie kościelnej są zakorzenieni, jak i tych stojących z dala czy takich, którzy jeszcze są wewnątrz, ale powoli zbierają się do odejścia. Do intelektualistów oczekujących pogłębienia wiary, i do ludzi prostych, wrażliwych przede wszystkim na szczerość i życzliwość tego, kto do nich mówi. Nie sądziłem, że znajdzie się ktoś taki: kapłan uniwersalny, o wysokich kompetencjach, lecz niewywyższający się, bliski. Oryginalny, niepowtarzalny, niekonwencjonalny, a jednak – dla wszystkich.

Słowo i przykład księdza Jana trafiały nawet szerzej, niż to miało miejsce w przypadku Tischnera. Nie miały znaczenia sympatie polityczne. Nie miały znaczenia przebiegające przez Polskę podziały. Każdy miał w Janie coś swojego. Kiedy zmarł, wszyscy, od lewa do prawa, poczuliśmy się osieroceni.

„To był ksiądz, ale człowieka uszanować umiał”. Czy sam doświadczył szacunku, na jaki zasługiwał? Kiedy Tischner leżał złożony chorobą, jego biskup, kardynał Franciszek Macharski, regularnie go odwiedzał, a jeśli nie mógł przyjechać, dzwonił. Opowiadają – nie wiem, czy to nie apokryf – że któregoś dnia, kiedy Tischner lepiej się poczuł, kardynał Franciszek nieoczekiwanie rozpiął koszulę i pokazał mu blizny po swojej nowotworowej operacji. W przeszłości różnie między nimi bywało, ale choroba bardzo ich zbliżyła. Kardynał wiedział, że miejsce biskupa jest przy chorym kapłanie. O ile wiem, ksiądz Jan nie doświadczył podobnej troski. Dlaczego, nikt nie umie mi powiedzieć.

Jan przyznawał, że jego myślenie o kapłaństwie ewoluowało: z zasadniczego księdza, wręcz katotaliba, stawał się tym, który chce ludzi wyciągać z rozpacz, a nie w nią wpędzać, rozumiejącym, że za każdym człowiekiem stoją jakieś dramaty. Nie wiemy, jakie doświadczenia ukształtowały tego, kogo spotykamy na naszej drodze. Okazywanie komuś pogardy nie spowoduje, że zechce być lepszy. Nie będzie miał do czego dorastać.

Nie jeden z nas ma z pewnością w pamięci takie zdarzenie, gdy został potraktowany lepiej, niż na to zasłużył – i wtedy poczuł się zobowiązany.

Tak mocno rozpowszechnioną w polskim Kościele narrację o surowym Bogu-rozliczycielu ks. Kaczkowski zastępował inną: o Bogu przede wszystkim miłosiernym. Już wiedział, że człowieka przemienia miłość, a nie lęk przed karą.

Podobnie jak ks. Tischner był zdania, że dopełnia nas inny. A zatem że człowiek staje się sobą w dialogu. Wszyscy jesteśmy zbudowani z zysków i strat, zwycięstw i tragedii, sprawczości i niemocy, wiedzy i niewiedzy, egoizmu i bezinteresowności, tęsknot i spełnień, nadziei i rozczarowań. Każdy z nas kogoś kochał, każdy kiedyś cierpiał. Jan dowodził, że właśnie z uwagi na tę wspólnotę doświadczeń w gruncie rzeczy łatwo nam znaleźć płaszczyznę porozumienia, jeśli tylko zechcemy odrzucić maski uprzedzeń, lęków czy też wyzbyć się dumy. Przekonywał, że kryzysy można przerobić w lekcje.

Wielokrotnie anegdotami prowokował do pytań o źródło siły i sensu życia. Zmuszał do refleksji nad tym, kiedy i dlaczego zabrakło

nam miłości do siebie i innych. Przypominał o szacunku dla różnych sposobów przeżywania świata. Zauważał, że nie da się nasłuchiwać Boga, nie wsłuchując się w drugiego człowieka, i to nie tylko w to, co mówi, ale także w to, o czym milczy.

W 2015 roku, dziesięć miesięcy przed śmiercią, Jan przyjął zaproszenie do Australii od Marka Kuligowskiego. Ten obcy wówczas mu człowiek napisał maila z prośbą o pomoc, nie potrafił bowiem pogodzić się ze śmiercią żony. Jan obiecał, że przyleci, i wbrew protestom rodziny i współpracowników 16 maja, po dwudziestosześciodzinny locie, stanął na Antypodach. Wyleciał z kraju dzień po badaniu rezonansem magnetycznym. Bał się wyników, cieszył się, że teraz będzie brakowało czasu na myślenie o prawdopodobnych scenariuszach. Przez kolejne 12 dni w Perth i Melbourne odbył wiele spotkań, wygłosił sporo kazań zebranych (zebrał też rekordową kwotę na swoje hospicjum). Był bardzo szczęśliwy, że odważył się na tę podróż. Zaraz po powrocie do Polski pojechał na chemioterapię do Olsztyna.

Jan twierdził, że nic specjalnego nie zrobił w czasie pobytu w Australii. Jednak: tamtejszy

hodowca pszczoł, poruszony tym, co zobaczył i usłyszał, wysłał do Puckiego Hospicjum 15 kilogramów miodu manuka (kilogram tego miodu kosztuje kilkaset dolarów); biznesmen Andrzej Balcerzak, gdy zwyciężył w jednym z odcinków australijskiej edycji teleturnieju telewizyjnego „Milionerzy”, nagrodę przeznaczył na hospicjum w Pucku; Barbara, która w dzieciństwie była wykorzystywana seksualnie przez księdza i dlatego przez ponad 50 lat nie chciała mieć kontaktu z klerem, zdecydowała się na spowiedź i przyjęcie pierwszej komunii, jeśli udzieli jej ich ks. Kaczkowski; a Marek, którego dręczyły wspomnienia o umieraniu żony, po spotkaniu z Janem poczuł ulgę...

Zależało mi, by w tej książce znalazły się przede wszystkim historie ludzi, których Jan poznał w Australii w ciągu tamtych majo-
wych dni. Bo to prowokuje do zadawania sobie pytań: ile z naszych kilkunastu dni życia zostaje w innych? Czy aby nie powinniśmy naprawić czegoś, co jeszcze da się naprawić, przeprosić kogoś, komu się to należy, wyrazić wdzięczność, a może nawet zaryzykować wyjście na głupca? Żeby nam nie zabrakło czasu.

To, co oczyszczające, bierze się z prostych działań: zrezygnowania z kolekcjonowania i rozpamiętywania afrontów, chęci wzajemnego zrozumienia, dania drugiej szansy, przyznania się do błędu. Ludzie czasem się ranią, maskują swoje kompleksy szorstkością, ale trudno uwierzyć, że naprawdę dobrze się czują w stanie wojny. Bywa, że gdy odpuści się myślenie o krzywdach, odsłania się nowy, lepszy świat, w którym rany goją się w ekspresowym tempie.

Jan przypominał, że miłość podsuwa najprawdziwszą odpowiedź na pytanie: jak żyć? Szczególnie w ostatnich latach dużo mówił o potrzebie budowania bliskich, czułych relacji. Powtarzał tysiące razy, że to one chronią nas w najcięższych momentach. Na czułość składa się wiele elementów: uważność, bliskość, szacunek dla inności, serdeczność, wrażliwość. Julia Hartwig w 2017 roku na łamach „Tygodnika Powszechnego” tak opisywała jej znaczenie:

Sądzę, że czułość to jedna z cech osobowości, którą zostajemy mniej lub bardziej obdarowani. Wymaga wstrzemięźliwości i uwagi. Trudno się czasami

z nią żyje, ale opłaca nasze różne gorycze. Krytyczym warto zachować, bo często bywa uzasadniony, ale więcej wiemy o człowieku, patrząc na niego z czułością, która nie tyle odnosi się do niego osobście, ile – to okropne, co powiem – do rodu ludzkiego. Do losu, który nam przypada. Jest on często nieszczęśliwy, w sferze naszych pragnień kończy się jak gdyby na niczym. Jest tyle cierpienia w naszym życiu, że jeżeli nie potrafimy uaktywnić czułości, która w nas jest, mniej wiemy o świecie.

Jan wiedział aż za dobrze, że czasem słowa nie dorastają do czyjegoś dramatu, są bezradne. Wtedy pozostaje obecność. Przekonywał, że ona wystarczy.

Miał pełną świadomość tego, że klawisz „delete” nie działa na wspomnienia. Bo przecież nie jest tak, że choroba unieważni fakty z przeszłości, na przykład to, że ojciec alkoholik przez lata bił swoje dzieci. Jan mówił, że nie ma prawa od nikogo wymagać heroizmu. Chętnie jednak opowiadał, że w swoim hospicjum był świadkiem cudów o wiele większych niż to, że ktoś wyzdrowiał. Ludzie ciężko doświadczeni jednali się, wybacжали sobie trudną przeszłość, choć przecież jej nie wymazywali.

Jestem bardzo wdzięczna Barbarze i Markowi za zaufanie, którym mnie obdarzyli, opowiadając najboleśniej i najintymniej historie ze swojego życia. Wierzę, że nie na darmo, że komuś ich zwierzenia pomogą się podnieść.

Poza ich wstrząsającymi historiami w tej publikacji zamieszczone zostały wybrane wypowiedzi Jana, które mogą okazać się przydatne, gdy znajdziemy się w trudnej sytuacji i nie będziemy wiedzieli, jak się zachować. Ile by jednak były warte, gdyby nie miały pokrycia w rzeczywistości? Mam nadzieję, że ich wymowę wzmocnią opowieści ludzi, którym Jan w odpowiednim momencie podał rękę, udowadniając tym samym, że uważność jest kluczem do wielu zamków.

Sztuka czułości to opowieść o tym, jak złożony jest ludzki los. O podłości i szlachetności. O tym, jak straszny potrafi być świat ograbiony z czułości. A także o tym, że do prawdy często docieramy błędząc.

Czytelnicy twierdzą, że dojrzewają dzięki książkom ks. Kaczkowskiego. Te książki to także zapis dojrzewania samego autora. Pracowałam z Janem nad *Gruntem pod nogami* i *Dasz radę*. Przyglądałam się, jak traktuje ludzi,

którzy przychodzą do niego ze swoimi problemami. Wyznawał, że stara się robić wszystko, by „tych, którzy są trzcina nadłamaną, nie złamać do końca”. Z całą pewnością jednak nie był „tanim pocieszaczem”, kimś, kto dla słabości drugiego szuka łatwych usprawiedliwień. Był wymagający, ale i czuły dla tych, którzy szukali u niego rady. Jakoś mu się to udawało godzić.

Po jego śmierci korespondowałam z czytelniczką naszej ostatniej rozmowy. Wyznała, że osiem lat temu przypadkiem znalazła się na rekolekcjach prowadzonych przez ks. Kaczkowskiego w Starogardzie Gdańskim. To był czas, gdy walił się jej świat. Napisała, że każdy kolejny koniec świata przechodziła już z tamtym doświadczeniem. I że ks. Jan jest człowiekiem, który oddał jej świat.

Oczywiście Jan miał również wady, jak każdy z nas. Nie chcę go tu upudrować. Był z natury dosyć niecierpliwy, czasem zbyt szybko wydawał sądy (czego często żałował). Jako szef oczekiwał realizowania jego wizji, niekiedy lekceważąc głosy sprzeciwu. Próbował walczyć ze swoimi słabościami, zdawał sobie z nich sprawę, ale też z tego, że chodzi o bilans życia, o to, ile z nas zostanie w innych ludziach.

Mówi się, że działalność Jana była spektakularna. Należy jednak pamiętać, że stała się taka dzięki swojej kameralności, to znaczy dzięki tysiącom gestów, których nie widziały kamery.

Jolanta Flis-Bukowska, przyjaciółka rodziny Kaczkowskich, którą Jan nazywał „cioteczka”, wspomina, jak kiedyś Jan zasugerował jej i jej mężowi, aby pomogli komuś, kto tego potrzebuje (miał na tyle śmiałości, bo traktował Bukowskich jak rodzinę). Akurat poznali ambitnego chłopaka ze wsi Lesno na Kaszubach, którego nie było stać na studiowanie. Postanowili wesprzeć go finansowo. Dzięki nim skończył wymarzone budownictwo lądowe na Politechnice Gdańskiej. Dziś jest specjalistą w zakresie konstrukcji. W pracy dyplomowej podziękował swoim dobroczyńcom, a niedawno zaprosił ich na swój ślub. Bukowscy zwracają jednak uwagę na to, że gdyby nie impuls od Jana, tego wszystkiego by nie było.

W *Gruncie pod nogami* padają zdania, które dziś brzmią jak podsumowanie jego drogi. Między wierszami czają się pytania, na które jasnych odpowiedzi nie ma. Jan uważał, że czasem trzeba przyznać: nie rozumiem, ale ufam.

Myślę dzisiaj: Janie, wiele rzeczy ci się udało. Całe życie ci mówiono: „inteligentny, ale leń”, a pokonałeś to lenistwo. Zrobiłem jakiś śmieszny doktorat (każdy by potrafił), specjalizację z bioetyki, habilitację przerwała mi choroba. Uczciwie byłem wikariuszem. Uczyłem w szkole z wielką pasją – najpierw w zawodówce, potem w dobrych liceach, w których chciałem się wzbijać na szczyty erudycji. Zawsze pisałem uczniom na tablicy numer telefonu do siebie i mówiłem: „Skorzystajcie, jak będziecie w trudnej sytuacji” (no dobra, przyznam się. Mówiłem: „Jak będziecie naprawdę w czarnej dupie”). Zdarzało się, że telefon w środku nocy zadzwonił. Zresztą i dziś się to zdarza. Przykładałem się do wykładania na uczelni. Zbudowałem jedno z najlepszych hospicjów w Polsce. Co ja mówię! Ja? Zbudowaliśmy! To ciężka praca wielu ludzi. Ale może Pan Bóg chce mi pokazać, że to wszystko jest nieważne? Może chce mi pokazać, że to, czym mogłbym się szczycić, to, na co pracowałem przez długie lata, że to są śmieci? A coś, co uważałem za straszną porażkę – chorobę – powinienem uznać za sukces? Może to coś najważniejszego, co miało mi się w życiu przydarzyć? Bo otworzyło mnie na rzeczywistości, których będąc w innej sytuacji, nigdy bym nie dostrzegł? Wiecie, jak mi to trudno powiedzieć?

Wciąż we mnie walczą różne siły... Bo, moi państwo, ja się wcale nie cieszę z tego glejaka, nie mówię z czułością: mój glejaczku kochany, rozwijaj się. Nie. To jest kawał biologicznego świństwa. Ale może Pan Bóg chce mnie ogołocić? Może chce mi powiedzieć: Jan, najistotniejsze, byś pokazał ludziom, że ważne jest zbawienie, że ważna jest relacja ze Mną, ważna jest miłość, uczciwość i bliskość. Może...

Sądzę, że najważniejsze wyzwanie, które postawił przed nami Jan, nie wiąże się z gorączkowym poszukiwaniem odpowiedzi na najtrudniejsze pytania, ale z przyjmowaniem odpowiedniej postawy wobec pytań, na które odpowiedzi nie ma.

Joanna Podsadecka



A stylized, light gray illustration of a tree on the left side of the page. The tree's trunk and branches are composed of dotted lines. Several circular canopies are attached to the branches, each filled with concentric dotted circles. The overall aesthetic is minimalist and artistic.

SZTUKA TOWARZYSZENIA